

Kolonializm made in England – 3

11 kwietnia 2018

Przekonanie o wyższości zachodniej kultury rodzi się z jej rzekomej „naukowości”. Psycholodzy wiedzą lepiej co jest potrzebne jednostce, zaś socjolodzy wiedzą lepiej co jest potrzebne rodzinie i społeczeństwu.

Odwieczny model rodziny oparty na hierarchii starszeństwa, który w dawnych kulturach polegał na życiu pod jednym dachem co najmniej trzech pokoleń, został odłożony do lamusa. Nikt już nie pyta starszych o zdanie i nikt się z tym zdaniem nie liczy. Jajo stało się mądrzejsze od kury, bo posiada komputer i rad zasięga z Internetu, który jest wyrocznią. „Co oni wiedzą?!” – mówi się o rodzicach i dziadkach. Dziś mamy inną epokę i inny sposób myślenia.

Wszelkie próby zaszczepiania obcej kultury w kraju, który już swoją kulturę posiada, spotykają się ze zdecydowanym oporem mogącym przybrać postać rewolucji. Tak było w Chinach za rządów Mao, gdy rządząca klika chciała odwrócić odwieczną kulturę Chin do góry nogami. Chińskie więzienia i obozy pracy pękały w szwach od ludzi, których jedynym przewinieniem był opór i nieakceptowanie nowego porządku. To samo widzimy we wszystkich krajach Trzeciego Świata, gdzie próbuje się nawracać naród na „jedyną prawdziwą demokrację” i „jedyną prawdziwą wiarę”.

Rządy, które używają parawanu „ustanowienia demokracji”, posługują się indoktrynowanymi specjalistami posiadającymi niewątpliwie dobrą motywację, ponieważ święcie wierzą, że to co robią, zapewni nawracanemu narodowi sprawiedliwy ustrój społeczny, ulepszy gospodarkę, przyniesie kaganek oświaty, prosperity, wolność słowa i przekonań, złagodzi surowe obyczaje i zlikwiduje przestarzałe i nieżyciowe kodeksy

etyczno-moralne, zastępując je liberalnymi prawami i nadgniłą moralnością a la USA lub Europa. Słowem – zapewni im szczęście na zachodnią modłę, bo przecież inne szczęście nie istnieje.

Rządy krajów neokolonialnych dbają przede wszystkim o napełnienie swoich kieszeni jak najszybciej się da, bo jutro koniunktura może się zmienić i pójdą na zieloną trawkę, a być może nawet trafią do więzienia. Drugim centrum zainteresowania jest prestiż. Żaden naród nie potrzebuje eleganckich wieżowców, pięciogwiazdkowych hoteli, reprezentacyjnych budynków tzw. „użyteczności publicznej”, do których nb. zwykły człowiek ma wstęp wzbroniony, pomników i obelisków, stadionów i olimpiad oraz całej pompy, która kosztuje miliardy dolarów płynących z kieszeni podatników. Naród nie ma z tego żadnego pożytku, wprost przeciwnie – im większy jest „pic i świc, tym bardziej ubożeje. Tych wszystkich rzeczy potrzebuje klika rządząca, dla której są to pomniki budowane za życia, świadczące – ich zdaniem – o ich gospodarności, patriotyzmie i miłości do narodu.

W międzyczasie neokolonialne metropolie ciągną zyski z wywożonych surowców i produkcji miejscowego „przemysłu”, bo marionetkowe rządy traktują kraj jak swoją własność i nie mają żadnych obiekcji, żeby systematycznie okradać naród, do którego kraj faktycznie należy. To zachodni dealerzy dyktują co ma być produkowane, jakie są płace pracowników oraz ceny wyprodukowanych towarów. To zachodni dealerzy zajmują się eksportem, z którego zyski idą wprost do ich kieszeni. W neokolonialnym kraju pozostają tylko podatki, cło wywozowe (z olbrzymimi zniżkami) oraz groszowe płace robotników.

Kolonializm i neokolonializm to również działalność misjonarska. Chrześcijańscy misjonarze idą w drugiej linii tuż za kolonizatorami, zaś w niektórych przypadkach ją wyprzedzają, często zarabiając sobie na sławę męczenników. Trudno się dziwić jeszcze nie sterroryzowanym „poganom”, którzy zabijają nieproszonych intruzów, próbujących nawrócić ich na jakąś dziwną, nową wiarę. Wprawdzie nie zabijamy

„jehowców” i innych apostołów chodzących po domach z jedną jedyną prawdą, ale zatrzaskujemy im drzwi przed nosem, co obrazuje negatywne nastawienie do każdego, kto chce zburzyć nasze dotychczasowe wierzenia. Jednak musimy pamiętać, że w niedalekiej przeszłości nawracanie „pogan” odbywało się ogniem i trucizną, zaś ci, którzy zostali gwałtem ochrzczeni, byli niedobitkami krwawych rzezi. Tak było na przykład w Australii do początków XX wieku.

Misjonarska działalność ma głównie na celu zaliczanie coraz większej liczby sztuk, ponieważ każdy wierny jest „dobrowolnie” opodatkowany na rzecz takiego lub owakiego Kościoła. Nie łudźmy się, że celem nawracania jest enigmatyczne i iluzoryczne „niebo” zagwarantowane wyłącznie chrześcijanom. Nie łudźmy się, że misjonarze zainteresowani są zbawianiem kogokolwiek. Jest to następny parawanik dla kolejnych fal kolonializmu i neokolonializmu – w końcu każdy chce upiec swoją pieczeń przy tym samym ogniu.

Jednym z największych bodajże paradoksów kolonializmu jest obowiązek dostarczania ludzi do sił zbrojnych kolonialnych metropolii. W krajach typowo kolonialnych są to rekruci wcielani do metropolitarnej armii, zaś w dominiach i protektoratach, gdzie istnieją armie złożone z tubylców pod białym dowództwem, oddziały wspomagają regularną armię metropolii, najczęściej walcząc na pierwszej linii frontu.

W obu wojnach światowych po stronie brytyjskiej walczyły oddziały ze wszystkich ówczesnych kolonii, dominiów i protektoratów, czyli z Afryki, Azji (głównie z Indii), Kanady, Australii i Nowej Zelandii – w tym ostatnim przypadku obok białych byli również Aborygeni i Maorysi w ramach tzw. ANZAC (Australia, Nowa Zelandia, Afryka, Kanada). Żołnierze krajów okupowanych są również wykorzystywani do dalszych podbojów kolonialnych. Innymi słowy, okupowany naród musi dać swoich najlepszych synów, aby przelewali krew za brudne interesy kolonialistów.

Biali najechali i skolonizowali Australię absolutnie nie zauważając istniejącej tam od wielu tysiącleci zaawansowanej kultury. Nie spotkali bowiem kwitnących życiem miast, techniki, bibliotek, teatrów, uniwersytetów, świątyń i pałaców. Aborygeni nie mieli ani królów, ani arcykapłanów. Nie mieli parlamentu, konstytucji, sądownictwa, policji. Nie mieli zatem nic z tych rzeczy, które – zgodnie z wyobrażeniami białych – w całej historii były namacalnymi dowodami istnienia kultury, z którą należy się liczyć i którą trzeba uszanować.

Kolonizatorzy przywieźli swoją kulturę i od pierwszych kroków na australijskiej ziemi zaczęli ją na wszystkie strony demonstrować. Jaka to była kultura świadczą ich czyny i sposób myślenia. Zagarnięcie cudzej własności, pozbawienie tubylców podstawowych środków do życia, masowe gwałcenie kobiet, odbieranie dzieci, masakry całych grup rodzinnych i plemion, wyraźnie i dobitnie świadczą o ich kulturze, a właściwie o zupełnym jej braku. Kto przyjechał z Wysp Brytyjskich? Kilka rodzin ze zubożałej i zdegenerowanej arystokracji, których członkowie z jednej strony zagarnęli dla siebie wszystkie eksponowane stanowiska, z drugiej zaś, rękami swoich administratorów, olbrzymie tereny. Zesłańcy wywodzący się z najniższej klasy społecznej Wielkiej Brytanii, a właściwie z marginesu społecznego, którzy w łańcuchach zostali doprowadzeni z brytyjskich więzień wprost na pokłady statków, a następnie w takim samym stanie rozładowani na australijskim wybrzeżu.

Każdy z nich miał coś na sumieniu – często było to niewielkie przewinienie popełnione, żeby przeżyć kolejny dzień ich nędznej egzystencji, lecz stosunkowo duży procent stanowili notoryczni i groźni przestępcy. Fala osadnictwa, która nastąpiła wkrótce, składała się z brytyjskich chłopów, którzy nie byli w stanie utrzymać się na mikroskopijnych gospodarstwach w kraju. W ślad za nimi przybyli awanturnicy i męty społeczne różnego autoramentu, którym nie chciało się pracować i liczyli, że w Australii będą mieli barwne i łatwe

życie. Któż z nich znał pojęcie kultury nie mówiąc już o jej posiadaniu?

Głównymi dowodami na brak kultury jest chciwość, żądza, złość, przywiązanie do rzeczy materialnych i egotyzm. Te atrybuty były na australijskim lądzie nieznane do czasu pojawienia się białych. Kolonizatorzy mieli ich w nadmiarze – były wynaturzone do takiego stopnia, że wprost przelewały się poza krawędzie ich osobowości. Istnieje wiele publikacji usiłujących zaokrąglić kanty, które mówią, że powodem konfliktów było niezrozumienie przez Aborygenów wyższości i doskonałości kultury europejskiej. Inaczej mówiąc „dzicy” nie mogli pojąć, że kradzież ich mienia i strzelanie do bezbronnych okradzionych jest dla ich dobra, i że to przejaw wyższej kultury, do której się powinni przystosować. Trzeba przyznać, że Aborygeni próbowali czasem naśladować „kulturę” kolonistów, zabijali osadników i kradli bydło, ale takie zachowanie oczywiście prawie zawsze kończyło się masakrą.

Aborygeni pozornie nie posiadali niczego, a mimo to faktycznie mieli wszystko, co im było potrzebne do wygodnego, spokojnego, bezpiecznego i szczęśliwego życia. Mieli ziemię i przyrodę, które były niewzruszoną podstawą ich egzystencji. Doskonała symbioza z Naturą pozwalała rozumieć i właściwie przyjmować jej wszystkie procesy. Aborygeni byli częścią Natury w dosłownym tego słowa znaczeniu i nigdy z nią nie walczyli, lecz zawsze akceptowali.

Podstawą kultury aborygeńskiej jest nieagresja i pokorne godzenie się z losem jaki by on nie był. Czy ktoś ich tego kiedyś nauczył, czy może wypracowali to w czasie niezliczonych tysiącleci istnienia ich rasy, tego nie wiadomo. Wiadomo jednak, że takie podejście nie rodzi się z dnia na dzień, czego dowodem są nieliczne kraje zachodniej cywilizacji, które potrafiły w ciągu paru wieków osiągnąć wysoki standard kulturalny dzięki systematycznym procesom prawidłowego rozwoju społeczeństwa.

Idealny rząd to całkowity brak rządu, czyli rządy ogółu ludności. Takie były założenia właściwie pojmowanego socjalizmu i komunizmu, które jednak nie sprawdziły się w praktyce, ponieważ doprowadziły do powstania klasy rządzącej, przeobrażonej bardzo szybko w dyktaturę. Społeczeństwom wmawiało się, że partycypują w rządzeniu krajem, ale w rzeczywistości rządziła klika stosując coraz bardziej obłądną politykę hegemonii, imperializmu i militarizmu w stosunkach międzynarodowych, zaś zamordyzmu w stosunku do własnego narodu. Takie postępowanie nie ma oczywiście nic wspólnego z prawdziwym socjalizmem, który zademonstrowali Aborygeni.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autorstwo: Piotr Listkiewicz

Źródło: pl.SputnikNews.com